



ARTUR GRUSZECKI
**POD CZERWONYM
 WIRCHEM**



Dopiero po kolacyi znalazł stosowną chwilę i na osobności rozmówił się z doktorem, który odpowiedział:

— Pani jest cierpiąca, potrzebuje zupełnego spokoju. Nie powinna zajmować się gospodarstwem domowym, żadnymi interesami materialnymi, służbą, dzieckiem..

— Ależ ona i tak prawie że się niczem nie zajmuje.

— Jednak te drobne, dla pana nic nie znaczące, zajęcia pogarszają stan jej zdrowia i trzeba tego uniknąć.

— Cóż tedy radzisz, panie Henryku?

— Wyjazd z domu, zupełne oderwanie się od zajęć i kłopotów.

— Ale co jej właściwie brakuje?

— Nerwica serca, ale nie wspominaj pan o tem chorej, zachowaj dla siebie. Powiedziałem pani, że to zwykle wyczerpanie sił, zdenerwowanie, pewien rozstrój, który pod wpływem spokoju i ciszy ustąpi.

— Więc to poważna choroba? — patrzył badawczo w oczy doktora.

— Każda choroba jest poważna, albo może nią zostać.

— I na jak długo musi wyjechać?

— Aż do polepszenia zdrowia, na dwa, może na cztery miesiące. Osądzi to zresztą i lekarz miejscowy i do pewnego stopnia sama pani.

— Dokąd radzisz wyjechać, panie Henryku?

— Do Zakopanego, doskonała stacya klimatyczna. Pomieszczenie dobre, wygodny, lekarze na miejscu i cudowne powietrze górskie.

— Hm... ciężko nam będzie dwojgu wyjechać z domu....

— O, nie! — zaprotestował doktor, — pani musi być sama, bez pana, panie Michale.

— Jakto? Ona sama!? Czyż da sobie radę? Czy nie zatęskni się? Któż jej usłuży? rozrusza? zabawi?

— Nia obawiaj się pan, da sobie sama radę, nie będzie przecież na odludziu.

— Nie znasz jej, panie Henryku; ona taka delikatna, wrażliwa, lada słowo ją zrazi, zmarłwi. Musi się ktoś nią opiekować, osłaniać ją.

— Tak źle nie jest, — uśmiechnął się doktor, — i pani poradzi sobie.

— Ja nie puszczę jej samej, — powiedział stanowczym głosem.

— Jednak dla jej zdrowia to nieodzowne.

Pan Michał zmieszał się, zaczerwienił i spytał podejrzliwie:

— Czy ona mówiła co o mnie?

— Ani słowa.

— Więc dlaczego zabraniasz mi, panie Henryku, towarzyszyć jej?

— Powiedziałem już, że pani musi się oderwać od domowych stosunków, otoczenia, trosk wszelkich.

— To rozumiem, ale co innego ja, jej mąż i opiekun.

— Właśnie dlatego, — zaśmiał się.

— No, to wyznam już, ale tylko przed panem, jako doktorem, że pomiędzy nami są stosunki trochę zaćmione, niejasne, jest w tem może trochę i mojej winy... otóż myślę, że te jej smutki i przygnębienia ustąpią, gdy będziemy sami, zdala od domu... no i przyjdziemy do zupełnej zgody.

— Nie, panie Michale, obecność pana uniemożliwi kuracyę. W chorobie pani są pewne opory psychiczne, którym nie można się przeciwstawić, bo pogorszą stan rzeczy. To wszystko minie, gdy o a przyjdzie do zdrowia.

— Ale Ninke zabierze ze sobą?

— Nie, sama być musi.

— To niemożliwe, ona przecież kocha dziecko, nie rozstanie się z niem.

— Trzeba.

— Nie! Nie!... Chciałbym koniecznie, ażeby Ninka i bona z nią były, jeśli ja nie mogę.

— Dlaczego? Przecież dziecko nie zacięży panu i tu będzie miało większe wygody, aniżeli tam.

— No, tak, zapewne... czy pan żonaty?

— Nie.

— Więc panu trudno zrozumieć męża, który młodą żonę ma puścić samą w świat, między Bóg wie jakie towarzystwo. Dziecko, widzi pan, jest hamulcem, zawsze przypomina o obowiązkach matki i żony. Z tego powodu chcę wysłać z nią Ninke.

— A właśnie z tych samych powodów odradzam stanowczo zabierania dziecka do Zakopanego.

— I ona zgodziła się na to, ażeby je miała sama? bezemnie? bez dziecka? — wpatrywał się gorączkowo w twarz doktora.

— Powiedziała, że się namyśli, poradzi z panem.

Pan Michał się rozjaśnił i rzekł z uśmiechem:

— No, to nic straconego! Spodziewałem się tego, ona przecież nas kocha. Panie Henryku, a jeśli ona zechce, ażeby ja jej towarzyszył?

— Radzę panu ani prosić, ani nalegać, ażeby sama nie jechała. Zresztą, robi pan, co zechce, — i korzystając z przyścia jednego z gości do pokoju, zawiązał z nim rozmowę.

Nazajutrz po wyjeździe gości pan Michał poszedł do żony.

— Jakże Wandziu się czujesz?

— Jak zwykle.

Chłód, z jakim go przyjął, zaczął go drażnić, ale się przemógł i mówił uprzejmie:

— Doktor Henryk radzi, ażebyś wyjechała do Zakopanego na odpoczynek.

— Wiem.

— Czy myślisz sama jechać?

— Zastosuję się do wskazań doktora.

— Znaczą sama, — nachmurzył się, — a sądzę, że dla spokoju i dobra twego lepiej, ażebyś pojechała z tobą.

— Doktor zabronił stanowczo.

— No, wiesz, — starał się uśmiechnąć, — doktor doktorem, ale zważ, że na czas dłuższy nie rozstawaliśmy się ze sobą. Będzie mi nader przykro i dla twej wygody byłoby lepiej, gdybyś nie była tak osamotniona.

— Tobie będzie przykro? — spojrzała z drwiącą pogardą, — ależ pozbędziesz się ciężaru, przestanę zatruwać ci życie...

— Wandziu, mówiłem to w rozdrażnieniu, — przerwał jej, — i bardzo serdecznie cię przepraszam.

— Bądź szczerzy przynajmniej, wolę ostre słowa, aniżeli komedye... a zresztą kto chciał wyjechać z domu?

— To tak sobie... na wiatr...

— Nie wierzę.

Mąż przeszedł się po pokoju, zapalił papierosa i patrząc z pod oka spytał:

— A Ninki nie weźmiesz?

— Doktor zabronił.

— Hm... ten doktor, to dobry parawan, — uśmiechnął się ironicznie.

— Nie potrzebuję parawana, bo nic nie mam do ukrywania, ani towarzyszków, ani kart...

— Prawda... no, dajmy temu spokój... zatem chcesz jechać sama?

— Stosownie do rady doktora.

— I kiedy?

— Dziś, jutro, byle prędzej.

— Skądże ten pośpiech?

— Doktor kazał.

— Niech i tak będzie, — westchnął; — każ Rózi przygotować twoją bieliznę, suknie, bo zdaniem doktora kuracya potrwa trzy lub cztery miesiące. Za dwa, trzy dni, jak tylko będą paski, wyjedziemy.

— Jakto? — podniosła zdziwione oczy.

— Nie obawiaj się, — powiedział z goryczą, — tylko odprowadzę cię do Zakopanego i zostawię.

— Dobrze... dziękuję... I jeszcze jedno, czy mój wyjazd nie będzie zbyt wielkim ciężarem?

— Nie! Wprawdzie urodzaju nie było wielkiego, ale zato ceny wysokie i mam w domu zbędnej gotówki pięć tysięcy rubli, nie licząc buraków.

— To bardzo szczęśliwie.

— A widzisz, mimo że pilnuję więcej kuchni, aniżeli gospodarstwa, — kończył złośliwie i wyszedł.

III.

Pani Wanda z mężem jechali w oddzielnym przedziale drugiej klasy. Wsunęta w róg milczała z przymkniętymi oczami, opadły ją bowiem obawy o pozostawioną w domu Ninke. Była to pora, gdy dziecko po rannej kąpieli układano do snu. Ninka zazwyczaj grymasila przed snem i napierała się do zabawy i ruchu, a uspokajała się pod wpływem śpiewu lub opowiadania bajki.

A może zniecierpliwiona bona uderzyła Ninke... a może pozwoliła jej po ciepłej kąpieli biegać bosymi nóżkami po zimnej posadzce i dziecko rozgrzane wybiegło na kurytarz, przeziębilo się, dostanie zapalenia płuc i umrze... Izy napływały jej do oczu i teraz gorzko żałowała, że nie została w domu. Mogła była dopilnować dziecka, zapobiedz nieszczęściu, ale doktor radził jej koniecznie wyjazd dla zdrowia... musiała dom opuścić... Sądziła jednak, że on zostanie, spojrzała z niechęcią na męża palącego papierosa. Możeby i nie dopilnował dziecka, lecz sama jego obecność we dworze zmusiłaby bonę do większej troskliwości o dziecko, które miałyby się przed kim poskarżyć.

I poci on właściwie jedzie? Dlaczego zamęcza ją swą obecnością? Nadpłynęła gryząca fala żalu i goryczy do męża...

Pan Michał, puszczając kłęby dymu, to patrzył na milczącą żonę, to znów na szary, mglisty dzień, który przedzierał się do przedziału przez brudne szyby. W głębi serca czuł żal do żony, że tak łatwo zgodziła się na wyjazd, sama jedna, a widząc ją smutną, pomyślał nie bez